



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



ANIOŁ PAŃSKI.

O Aniele, z niebiosów jasnej bramy
Zstępujący na ziemię!
Usłysz głosy, któremi cię wzywamy,
Ubogich ludzi plemię.—

Rzuć nam z góry garść srebrzystych promieni,
Wznosim ku Tobie dłonie...
Tym, co słabi, tym co już są znużeni,
Stwórz mocne serca w łonie.

I nadzieję wróć tym, których odbiega,
Bo cóż się z nimi stanie?
Łódź, odbitą błędnie od swego brzegu,
Wicher pcha na otchłanie...

Daj utrzymać ten ster, co za swym celem
Każe płynąć wytrwale;
Nie tryumfem już ty bądź—nie weseleni
W jasnych promieni chwale.

W piersi nasze zstąp bólem, zstąp tęsknotą,
Mocy Boża na niebie!
Pod popiołem serc iskrą stań się... O to,
O to prosimy Ciebie...



POGA WĘDKA

Jeżeli czego nie brak obecnie w Warszawie, to chyba—obrazów; oprócz dwóch stałych wystaw, p. Krywulca w hotelu Europejskim i Salonu Towarzystwa zachęty, mamy wspaniałe dzieło Matejki pod szklanym dachem galerii sztuki przy Krakowskim-Przedmieściu, mamy „Chrystusa“ Siemiradzkiego w sali ratuszowej, mieliśmy żywe obrazy na kiermaszu i na scenie Teatru Dobroczyńności, nie licząc wystawy szkiców, która zapelniona jest także obrazkami—i nie licząc tych żywych obrazków, do jakich należy każda nadobna warszawianka, kandydująca od urodzenia do „Albumu piękności“ p. Mireckiego lub p. Mucharskiego.

Rozumie się, że *hors concours*, ponad tem wszystkim, co się bez ram nie obywa, stoi dziś olbrzymi obraz Matejki, tryumfuje owa „Dziewica z San-Remy“, prowadzona w wspaniałym pochodzie do katedry w Reims, której święci i grzeszni śmiertelnicy, przedstawiciele ziemskiego i niebieskiego majestatu, towarzyszą wśród odgłosu trąb, okrzyków ludu i psalmów archanielskich.

Joanna d'Arc ze zwyciężkim sztandarem w prawej ręce, który przyciska do opancerzonej piersi z głową odkrytą, oczyma wpatrzonemi w nadziejską wizję trójcy świętych patronów przed sobą, płynących w powietrzu, otoczona ze wszech stron falą ludu, witającą ją z czcią i entuzjazmem bez granic, poprzedzona przez dygnitarzy państwa, a prowadząca za sobą królewską parę ze wspaniałym dworem, zajmuje sam środek olbrzymiego obrazu, który zrzucić musiał swoje rami, aby się mógł pomieścić w salonie naszej wystawy, gdzie przeciw ogrom „Grunwaldu“ znajdował miejsce dość wygodne.

„Orleańska dziewczyna“ rozmiarami największą jest ze wszystkich prac mistrza, największą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek Warszawa podziwiała, a w porównaniu z malowanemi olbrzymami rozmaitych galerii europejskich jedno z pierwszych miejsc zajmuje.

Postacie ludzkie cisną się i tłoczą na tem płótnie w naturalnej wielkości, konie przypominają miarą historycznego Bucefała; św. Michał zaimponowałby kształtami, wzrostem i muskulaturą najtęższym kawalerzystom ziemskim i przynosi zaszczyt nawet niebieskiej hussaryi.

Wszystko tu nosi cechę tej wielkiej miary, niezwykłej potęgi, olbrzymiej siły; gdyby jakim cudem ożyły te malowane postacie, tłum widzów poczułby dreszcze w krzyżu i czempredziej zaczął uciekać. Odrobina bujniejszej wyobraźni wystarcza, aby wpatrzywszy się dłużej w ten obraz usłyszeć szcęk zbroi, krzyki tłumu i ów zgiełk, przypominający szum i łoskot wzburzonego morza.

W pierwszej chwili oko widza tonie w tej różnobarwnej fali ludzkich postaci, wikła się w tych kłębach ciał, natłoczonych w ulicznym przesmyku, nie może schwycić i objąć całości, zupełnie, jak w naturze—i to może wada kompozycji obrazu, wspólna prawie wszystkim potężnym dziełom Matejki, który nie pozwala nigdy widzowi patrzeć zdaleka na rozgrywającą się akcją, każe mu w sam środek wstąpić, wmieszać się niejako w tę sferę, co nie została odgraniczoną wymiarem perspektywy w sztuce od świata rzeczywistego.

Zdaje ci się, że cię porwał ten szalony, namiętny, burzliwy wir, i nie wolno ci być spokojnym, bezpiecznym obserwatorem czegoś, co się przed tobą dzieć powinno, ale musisz spoglądać na to, co niejako dokoła ciebie się dzieje.

Okulisci tłumaczyli to wadą wzroku artysty, który tak maluje i tak patrzeć każe na swoje obrazy, jak sam widzi naturę; widzieć ją musi zblizka, aby dojrzał, jako krótkowidz i dlatego pomija zupełnie dalsze plany, nie mogąc ich należycie ogarnąć swoim wzrokiem.

Zgodziwszy się raz z tą koniecznością, nie zależną od samego Matejki, ale od jego wzroku

i sposobu widzenia, trzeba tylko podziwiać i rozkoszować się w twórcach jego geniuszu.

Oko powoli w tym pozornym chaosie zaczyna się rozglądać i odkrywać coraz wspanialsze szczegóły i niespodzianki, porządkuje swoje wrażenia i jakby mu zmysłu przybyło, uczy się patrzeć i obejmować coraz większemi grupami olbrzymi obraz, a wówczas poznaje, że w tym rozgardyaszu jest jednak osobna harmonia i ład. że ta niby nastroszona całość oparta jest na planie symetrycznie nakreślonym.

Wtedy pozna, iż obraz, niby elipsa, ma punkt środkowy w postaci najpiękniejszej swoją godnością i wyrazem nadziemskim, w samej Dziewicy orleańskiej, a po bokach dwa ogniska, które stanowią grupy króla Karola VII-go i heroldów, niosących insygnia korony.

Opierając się na tych trzech wytycznych punktach pochodzą, będzie można już dalej rozwikłać wszystko i przejść do szczegółów, zachwycających przedewszystkiem indywidualnością każdej postaci, charakterystyką jej, wydatnością plastyki niemal namacalnej, i powiązaniem z ogólną akcją sceny przedstawionej w obrazie.

Jak tu widać, że nie tylko wszystkie oczy i ręce zwracają się dziękczynnie i z podziwem ku tej oswobodzicielce ojczyzny, która z nieba wzięła swe posłannictwo, ale, że i serca wyrwyją się ku niej z przepelnionych uczuciem i zachwytem piersi.

Ten moment psychologiczny z przedziwną expressją i stopniowaniem, pełnem różnorodności i odcieni, przedstawiony został w tłumie, otaczającym Joannę d'Arc, górującą nad swoim ludem, jako wybranka niebios, wpatrzoną w nadziejskie jawisko z wyrazem, który zdaje się mówić: „Otom ja służebnica Pańska i narodu mego! z góry dano mi siłę, przezemnie zwycięztwo temu ludowi, niech będzie imię Pańskie pochwalone!..“

Można godziny, dnie całe spędzać przed tym obrazem, studyując każdą postać z osobna i w każdej niemal odkrywając coś nowego, co człowieka podziwem przejmuje; jaka wymowa tych wszystkich oczu zwróconych ku Dziewicy, jaka wymowa rąk, gestów, twarzy, nawet w epizodycznych na ostatnim planie figurach!..

Widz, podziwiając, zapomina o własnym krytycyzmie, nie chce niemal dochodzić, co znaczą te gwiazdy i komety w jasny dzień, dlaczego płonące żagwie i pochodnie świecą jakimś blaskiem nienaturalnym, czemu ów św. Michał w otoczeniu niebiańskich towarzyszek tak po ziemsku z krwi i kości został pojętym przez artystę i wbrew wszelkim prawom mechaniki ciał unosi się w powietrzu, chyba dlatego, że mu już miejsca na bruku zapchanej ulicy nie starczyło, albo dlatego wreszcie ów aniołek wieńczący Joannę takie rachityczne ma członki i skręcony tak niemożliwie urąga znów anatomii, którą Matejko zna nie gorzej od Michała Anioła.

Na słońcu są plamy, a dlaczegożby dzieło ludzkie miało być bez skazy, doskonałe we wszystkim, wolne od wszelkiego zarzutu.

— Miejcie tesame błędy—miałbym ochotę powiedzieć do innych — tylko okupujcie je równie takimi zaletami, chociaż w dziesiątej części, jakie posiadają arcydzieła Matejki; miejcie tytaniczne jego porywy i olbrzymią potęgę, a potem będziemy mówili, czy wolno wam dziwaczyć niekiedy.

Zdarzyło się tak, że razem z „Joanną d'Arc“ przybył do Warszawy obraz „Siemiradzkiego, przedstawiający „Chrystusa w domu Maryi i Marty“.

Jeśli można sielankę porównywać z dramatem Mozarta z Beethovenem, Anakreona z Shakespearem, gwiazdę z gromem, jezioro z wulkanem, to porównywalnie obrazy tych dwóch mistrzów naszego malarstwa ze sobą.

Ale po co koniecznie porównywać?... dwa talenta odmienne, dwie odmienne indywidualności artystyczne, dwa krańcowe bieguny natchnień, dwa rodzaje różne, a każdy dla siebie odrębny i niepospolity, dwie odmienne techniki malarskie, nie dadzą się zestawiać na jednym poziomie, a przynajmniej nie w tych samych granicach. Matejko jest Matejką, a Siemiradzki Siemiradz-

kim. Obaj, oprócz wspólnych środków do malowania, płótna farb i palety z pendzlami; nie więcej wspólnego z sobą nie mają; pierwszy maluje heroiczne rapsody z rycerskiego eposu, drugi jest liryzmem klasycznego świata, pierwszy więcej rozmyśla, drugi więcej rozmyśla i t. d!

Po co ich porównywać?..

Najnowszy obraz Siemiradzkiego, który Warszawa miała teraz sposobność oglądać, jest, jak ktoś powiedział, „biblijną sielanką“. Chrystus w ogrodzie Maryi i Marty na kamiennej ławie usiadł w cieniu, który długi mur rzuca i młodszą siostrę, co „najlepszą cząstkę obrała“, u stóp swoich naucza słowem Bożem; w dali widać wewnątrz gościnnego domu, w którym płonie ognisko, stół zastawiony na przyjęcie mistrza i schodzącą Martę, przywykłą krzątać się jedynie około gospodarstwa.

Pogodny, słoneczny krajobraz stanowi tło, po którym można odrazu pędzić Siemiradzkiego.

Spokój, cisza, atmosfera blasków i woni pełna, zalega do koła; Chrystus, jako nauczyciel miłości, siedzi przed swoją uczennicą i mówi jej o rzeczach nieziemskich, a jakby z lekceważeniem o doczesnych sprawach żywota lewą ręką wyciągnął przed siebie i tłumaczy zasłuchanej dziewczynie jakieś prawdy niebieskie, które ona całą duszą chłonać się zdaje.

Najgłębsze wrażenie na widzu sprawia też Marya, choć w obrazie podrzędnie zajmuje stanowisko, ale z jej twarzy, z jej spojrzenia więcej, niż z całej postaci Chrystusa poznać, jakim urokiem wymowy i treści oddziaływać musiał w tej chwili boski mistrz.

Gdyby zasłonił Maryą, Chrystus straciłby urok i został tylko pięknym, typowym mężczyzną semickiej rasy, w którego obliczu wielkiego natchnienia nie ma, którego ręce swoim ruchem mówią o rzeczach jakichś zwykłych, pospolitych, drobnych, któryby raczej miał minę spokojnego gawędziarza, niż nauczyciela.

Ale w tej Maryi zasłuchanej, zobojętniałej jak się zdaje dla całego świata, znieczulonej na wszystko, co ziemskie i doczesne, artysta złożył niejako odbłask Chrystusa, jakiego sobie zapewne wyobrażał i widział przed sobą, chociaż nie tego, który usiadł w jego obrazie rzeczywiście.

W tym malowanym duecie jeden głos jest słabszy; milczenie Maryi wymowniejsze od słów Chrystusa.

Marta jest postacią epizodyczną, cofniętą w głąb; mimo to nie brak jej wyrazu tej zwyczajnej, tuzinkowej duszy kobiecej, która przy ognisku domowym nie ma czasu myśleć o wyższych celach i zagadnieniach. Ona dziwi się siostrze, że może tak próżnować u nóg Chrystusowych, zamiast się zakrzętać około gospodarstwa; poznać, że schodzi z głosem wymówką na ustach, która spłoszy stadko gołębi gruchające poza Chrystusem na stopniach kamiennych.

O malowaniu, o technicznej stronie tego obrazu nie da się nic nowego powiedzieć; Siemiradzki mistrzem jest słonecznych efektów, barw jasnych, pogodnych, światła migających złotawymi błyskami pośród listowia, delikatnych dotknięć pędzla, które tworzą tę lekką, przejrzystą atmosferę jego obrazów, a w której zdają się oddychać prawdziwym życiem jego malowane postacie.

Spokój i równowaga, cicha poezja śpiewających o świecie skowronków, pogoda południowego nieba bez chmur, czasem jakaś lekka melancholia, jak westchnienie zbudzonych zefirów, nadają szczególniejszy urok jego dziełom; staje się przed niemi i marzy, ale nie odchodzi nigdy wstrząśniętym do głębi i wzburzonem.

Zarzut z tego niepodobna robić artyście, którego indywidualność przebiega w obrazach i ma swój odrębny wdzięk; nie wszyscy przecież muszą imponować siłą olbrzymów.

Zająłem się głównie temi dwoma dziełami sztuki, bo o czem tu innem pisać w tygodniu przedświątecznym?

Najodpowiedniejszą adwentowi sprawą, jest sprawa miłosierdzia; z tego powodu wyjątek winienem uczynić ze wszystkich tematów, których dziś nie poruszyłem i wspomnieć na końcu słowami wysokiego uznania o zapisie hr. Janusza Roztworowskiego dla biednych ociemniałych.

Dobrodziej ten przeznaczył za życia znaczny fundusz 105,000 rs. na zapomogi wieczyste dla nieszczęśliwych kalek pozbawionych wzroku; aktem darowizny stworzył w Warszawie fundacją, która co roku obdarzać będzie kilkudziesięciu biednych, niemogących zapracować na siebie i swe rodziny. Łzy wdzięczności z ociemniałych oczu będą brylantowym pomnikiem dla pamięci szlachetnego zapisodawcy.

Mój kącik nekrologowy od pewnego czasu wypełnia się stale krzyżkami; i dzisiaj przychodzi mi zapisać na tę listę niezastąpionych strat społecznych nazwisko zacnego kapłana, znakomitego męża nauki, sumiennego badacza naszych dziejów, Ojca Waleryana Kalinki, zmartwychwstańca, który w zeszyłym tygodniu po dłuższej i uciążliwej chorobie, zmarł we Lwowie niedokończony pomnikowej pracy swojej o Seymie czteroletnim.

Starzec sześćdziesięcioletni zstąpił do grobu, ale umysł świeży, trzeźwy, głęboki, w pełni rozkwitu mógł jeszcze długo pracować; zapalenie mózgu położyło kres jego doczesnej wędrówce.

Kalinka należał do tych powag naukowych i historycznych, któremi każda literatura poszczycić się może; służył idei pięknej, „bo prawdzie dziejowej,” która miała być mistrzynią społeczeństwa, a służył bez uprzedzeń, z miłością dla ziemi, której był prawdziwie miłującym ją synem i obywatel.

Długiego szeregu prac jego studyów, rozpraw publicystycznych i historycznych wymieniać nie będę; zasługują one na osobny rozbiór, poczet ich znaczny i świetny. Nad świeżą mogiłą ze złością mi tylko ukłęknać przychodzi, bo w niej spoczął człowiek prawy, umysł wyższy, talent niepospolity, pracownik rzadkiej pożyteczności, kapłan bez skazy, a pisarz wielkiego pióra...

Na zakończenie starym zwyczajem opłatek biorę do ręki i idę do was z życzeniami, idę z kolendą do dzieci waszych, których święto po jutrze obchodzić mamy.

Oby do opłatka tego, co chlebem zgody i miłości, i pokoju jest nazwany, los dodał trochę miodu, trochę słodyczy...

Wesołą nowinę świata niesie pieśń kolendowa; wesołych nowin z gwiazdą na chmurnym niebie życzę wam i sobie, a na choince życia — światła, co nie tak rychło gasną.

Bywajcie zdrowi w tym roku; do widzenia w przyszłym, oby pomyślniejszym, niż wszystkie poprzednie!

Quis

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Zaczęto się drażnić z Pietrkiem jeszcze bardziej i bawić się jego zakłopotaniem.

Za żadne skarby świata nie byłby teraz oddał roboty swego pana tym ludziom, którzy sztydził z tego, co on całą duszą kochał i szanował.

W malcu duma była głęboko zadrasnięta.

Nie mogąc prośbami i grzecznym słowem skłonić Drały do oddania biustu, zbliżył się sam do stolika i szybkim ruchem chwycił swą własność.

— Oddać to! — mruknął już szorstko i w poczuciu swojego prawa.

Kilka rąk wyciągnęło się jednocześnie, by mu wzbronili przystępu, ale Pietrek ściągnął już gipsową ofiarę szyderstw i drwin ze stołu i w tej samej chwili rzucił ją na ziemię, rozbijając w drobne kawałki.

— Teraz niech sobie panowie skorupy pozbierają, kiedy chcą — rzekł i odwrócił się plecami do swoich przeciwników.

Wypadek ten nie pozostał bez skutków; postępki Pietrka upokorzył i podrażnił nanowo od

dawna niechętnie usposobionych dla Filipa antagonistów w Dołku.

Nie miano mu nic do zarzucenia, oprócz talentu i dumy, która odsuwała go od ich sfery, ale mimo-to nie lubiano go bez faktycznych powodów.

Na drugi dzień w kilku dziennikach ukazała się złośliwa wzmianka o „figurkach gipsowych, roznoszonych po szynkach i kawiarniach przez zuchwałego wyrostka, który natrętnie narzuca je gościom, jako pracę jednego z najwięcej utalentowanych rzeźbiarzy, obniżającego, niestety, swój talent coraz bardziej w ostatnich czasach.” Ubolewano „nad rozdrabnianiem zdolności niepospolitych” i marnowaniem ich na drobiazgi, niegodne prawdziwego artysty, który tak świetnie rozpoczynał swój zawód, a tak mało go dzisiaj szanuje.

Obsłonki anonimów w tych artykułach były tak przejrzyste, że każdy pod nimi bardzo łatwo domyślał się Morellego.

Filip, na szczęście, nie od razu dowiedział się o tym nowym zamachu złośliwych pismaków i za wistnych kolegów.

Szalej, zawiadomiony przez Pietrka o całym zajściu w Dołku, zębami zgrzytnął, chłopca wziął zlekka za ucho i powiedział:

— Żebyś mi odtąd tej nory raz na zawsze unikał; gdy będziesz musiał przechodzić tamtędy, to spluń trzy razy.

Poeta nie odstępował prawie teraz przyjaciela; całe dnie i wieczory spędzali z sobą razem; o zmroku wybierali się na przechadzkę w odleglejsze dzielnice miasta i wracali późno do pracowni, w której Filip mieszkał od czasu rozstania się z żoną.

Pomimo panowania nad sobą, artysta nie mógł odzyskać prawdziwej równowagi; wstrząśnienia i ciosy ostatnich lat kilku zrysowały tę duszę, spękaną, jak szkło. Postarzał, wychudł, włosy na skroniach i brodzie posrebrzyła siwizna, stał się jeszcze bardziej zamkniętym w sobie odludkiem; unikał światła, ludzi, gwaru. Drzwi pracowni jego, jak drzwi więzienia, albo celi klasztornej były zawsze zamknięte.

Czasami bardzo wczesnym rankiem wmykał się z domu i wracał po kilku godzinach, bleśszy, pochmurniejszy, zdenerwowany na cały dzień; wtedy nawet Szaleja nie dopuszczał do siebie, a Pietrka wysyłał pod rozmaitemi pozorami z pracowni na miasto.

Były to dnie, w których chodził na cmentarz odwiedzać mogiłkę Stefanka i rozmawiać z cieniem zgasłego szczęścia.

Najcięższe zło przywlokło się jeszcze pod próg artysty: bieda i niedostatek. Dochód z gipsów wystarczał zaledwie na liche utrzymanie; nowej, większej roboty nie było, sama nie przychodziła, a Filip szukać jej nie miał siły i odwagi.

Jak się to najczęściej dzieje, zaczęto zapominać o artyście, który przestał zwracać uwagę na siebie i swój talent.

Zdarzały się teraz dnie, w których nie było czego do ust włożyć. Filipowi zdawało się to wszelako być zupełnie obojętnym; nie czuł głodu, ani zimna.

Najspokojniejszym bywał w jasne, księżycowe wieczory, kiedy go opadała jakaś cicha melanchochia, co jak mgła spadała na jego duszę.

Pietrek przy piecu skulony w popiele dopiekał kartofle, Filip na łóżku leżał w swej najulubieńszej pozycji na wznak z rękoma złożonymi na pierśsiach, jak w trumnie, a Szalej na dwóch krzesłach pod ścianą w zygzak zgięty, wpatrywał się w duże klasztorne okna, przez które szeroką falą lało się światło miesiąca i rozpraszało mroki pracowni.

Jedynym tematem, który jeszcze od czasu od czasu ożywiał artystę, była sztuka; mógł o niej mówić goręcej, z pewnym zapalem, z tą dawną, niewygasłą, czcią dla jej ideałów, zachwycał się wspomnieniami Włoch i dziełami wielkich mistrzów, które studiował za lat młodzieńczych, marząc o dorównaniu im w sławie i twórczości.

Niekiedy w opowiadaniach o pobycie w Rzymie i Florencji zdawał się zapominać o teraźniejszości zupełnie; wracała mu chwilami dawna swoboda i wymowa; Szalej słuchał z uwagą

przyjaciela i podtrzymywał ten nastrój z delikatną zręcznością współczucia, które rozumiało, że takie chwile zapomnienia były lekarstwem dla chorej duszy Filipa.

Sam wpadał nieraz w poetycką werwę i pod sklepieniem pracowni poklasztornej rozbrzmiewał jego głos, deklamujący natchnione strofy Słowackiego lub Musseta.

Jeden tylko temat zgryźliwą ironią budził zwykle w poecie; ilekroć rozmowa zbaczala na sprawę rozwodową Filipa i Heleny, tyle razy Szalej złością zbryzgiwał każde swoje słowo nie tając się z pogardą i nienawiścią dla „żywej lalki”, którą przyjaciela jego za posąg kiedyś uważał.

Filip przerywał wtedy z niechęcią rozmowę.

— Daj pokój — mówił — to przecież moja żona.

— Żona!... oburzał się poeta — ty wiesz co to jest żona?... trzeba ci było znać moją! — wyrwał się pewnego razu w zapale.

Te słowa podniosły Filipa z łóżka.

— Ty miałeś żonę? — spytał nagle z wielkim zdziwieniem i zajęciem.

Szalej niechętnie poruszył się na swoich krzesłach.

— Ot, i głupstwo palnałem — rzekł po chwili znizonym głosem. — Rozumie się, że miałem. Nie wspominałem ci o tem nigdy, bo to nie wesoła historia, ale skoro się wygadałem, to trudno.

Przegarnął palcami krótko strzyżoną czuprynę i mówił dalej.

— A no miałem; i dziecko miałem, prawda, że tylko przez trzy dni po urodzeniu, ale zawsze to daje tytuł do ojcostwa. Co ci tam po szczegółach!... był czas kiedy Szalej poeta nie wyglądał, jak szmaciarz pomiędzy ludzkimi gałganami. Ho — ho! żebyś ty był widział, jak mnie tu honorowano, sławiono, z rąk sobie wrywano!... Nie uwierzysz, ale ja chodziłem kiedyś we fraku i w lakierkach, nawet własnego wierzchowca miałem przez dwa miesiące; sprzeczano się o to, czy Szalej jest bliższym kuzynem Apollina czy Alcybiadesa. Krótko to trwało, bo z moją naturą długo potrwać nie mogło. Spotkałem raz pannę z możnego domu, która była najprzód zadurzoną w moich wierszach, a potem we mnie; nie chcieli mi jej dać dobrowolnie, więc ją wykradłem. Takiegoś awanturnika nie przypuszczał w Szaleju?... a widzisz. Mój teść mnie się wyrzekł, a córki znać nie chciał. Cóż było robić!... Próbowałem żyć bez wielmożnego teścia i bez wielmożnego ojca; mnie ten brak bardzo nie dokuczał, ale biednej Lusi... no, co tam o tem dziś wspominać! Kobiety mają inne serca od naszych. Chcieli przebaczyć, zapomnieć, żeby tylko wróciła do domu i porzuciła mnie; chcieli jechać do Rzymu po rozwód, chcieli mi nawet dać odstępnego!... pańska hojność bywa czasem bez granic, ale i bez sumienia. Powiedziałem jej: „Chcesz — wróć!...” umarła przy mnie po roku, lecz została, bo kiedy kobieta kocha prawdziwie, to jej miłość uraga nawet śmierci... Niema poświęceń, do którychby nie była zdolną, kiedy raz siebie samą poświęci. My tylko pięknie gadacie umiemy, ale one milcząc zawsze więcej od nas najlepszych wartę, gdy na prawdę pokochają. Ten rok małżeństwa, mówię ci, to jak relikwia całego życia mojego. Wierz mi, że przez ten rok tom „ja przy niej był bez grzechu i anielskość miał”... pisałem, tworzyłem, skrzydła mi rosły, wszystko przez nią i dla niej. Chciała mnie widzieć wielkim, sławnym, szczęśliwym i gdyby żyła dziś... ale umarła, bo kogo bogi ukochają, ten umiera młodo. Wielka pociecha!... wąta była, słabiutka, kwiatek, nie kobieta, umarła przy dziecku.

Głos mu się zламаł przy ostatnich słowach ze wzruszenia; zacisnął zęby, że aż zgrzytnęły i urwał... Minęła długa chwila głębokiego milczenia; zdawało się, że pracownia była pustą i że w tej ciszy nie kołatały trzy ludzkie serca przyspieszonym tętnem.

— Żebyś ty był widział, jak to moje paniątko delikatne biedę znosiło — zaczął po jakimś czasie nanowo — jak te małe rączka same kołnierzyki prały i kurze zcierały w całym mieszkaniu!... a z dostatków wyszła, z wygod, ze zbytku i nic nie wzięła z domu rodzicielskiego, oprócz tego, co miała na sobie, gdy za mnie szła. Po jej śmierci, wyobraź sobie, zaczęła mi fortuna sypać

grosze z dziurawego worka, jak mannę; za życia to się doskrobać chleba nie mogłem moim piórem. Także los!... przysięgałem jej przed śmiercią, że będę pracował, że się nie dam złamać bólowi i będę szedł coraz wyżej. A szedłem, pięknym szedłem!... Chciałem się ogłuszyć pracą z początku; zacząłem pisywać po dziennikach, no i wpadłem odrazu pod młyńskie koło, które perły na miał miele i większe od mojego talentu rozgniotło, a ile jeszcze rozgniecie!... Czuję, że się kruszę na gruz, ale nie miałem sposobu wyrwać się z tego dyabelskiego młyna. Spróbowałem raz napisać tragedię, do tego wierszem, i historyczną w dodatku. Głupi byłem... Jak ci mnie zaczęli porównywać ze Shakespearem, a mierzyc, a przeciągać, a rozierać na części, tak we mnie wszystkie kości trzeszczały i dowiedli mi w końcu, że nie Shakespeare, że ze mnie żaden geniusz, że nie mam się po co porywać z motyką na słońce. A ja ci z góry wiedziałem, żeśmy ze starym Wilem ani bracia, ani kumy; on sobie Shakespear, a ja sobie Szalej. Dałem pokój tagedyom. Napisałem potem poemat, ale lunąłem dwa tysiące wierszy zadużo, bo nigdzie miejsca więcej, jak na kopę odstąpić mi nie chcieli; straciłem pół roku pracy, ze trzy libry papieru, ale od tego czasu nauczyłem się palić w piecu moimi wierszami. Jakiś głupi wydawca złapał się na moje pośmieszczyki i wydrukował zbiór moich „Two-rów“; krytyka odgrażała się ciągle, że mnie „roz-bierze“, jak na to zasługuję, ale po dwóch latach żydki cały nakład kupiły na makulaturę. W tym czasie krytyka miała fluxyę i gęby nie otwierała, utonąłem wtedy w bagnie zapomnienia z jej łaski. I tak dalej, tak dalej w tym samym rodzaju darzyło mi się w zawodzie poetyckim. Spisałem pióro na kwacz, a potem ze wstrętem wyrzuciłem je za okno; nie chciało mi się więcej dostarczać śmiecia dziennikarskiego, a odwykłem od górnych lotów, szerokich szlaków, zgubiłem ślad dawnego natchnienia... Reszta, to już pospolita historia zmarnowanych i wydziejcziczonych w naszej literaturze. Mam zaszczyt do nich należeć w czasach, w których ptakiem bogów nie jest więcej orzeł, ale kogut, a jeszcze częściej kapłon... Musiałeś u mnie zauważyć ramki złote, wiszące na ścianie bez obrazu; wiesz co w nich było?... portret mojej żony. Spaliłem go raz po pijanemu, bo mi się wydawało, że chwilami ożywa i nie mogłem znieść łagodnych, smutnych oczu mojej nieboszczki, które płakały, patrząc na mnie z wyrzutem i żalem niewymownym. Te oczy widziałem nawet w ciemności, wlepione we mnie, jak dwie gwiazdy. Wstyd mi ich było... Cóż z tego?... dzisiaj, choć ramy puste, widuję je tak samo i nie śmiem spojrzeć na ścianę, a ram nie chcę już spalić, bo... bo to ostatnia po niej pamiątka. No, wysypałem ci teraz „piasek mojej duszy“ od samego spodu. Szkoda, żeś nie spisywał; Pszonka lub Niewiadowicz kupiłby to na felieton i byłoby czem zalać suche gardło...

Zakończył chrypliwym, zduszonym śmiechem i zaczął ziewać szeroko.

Księżyc, jakby sam słuchał monologu poety, zatrzymał się wprost okien pracowni i wszystkie kąty jej oblał srebrzystą poświatą.

Filip nieruchomie leżał na łóżku i zatonał w myślach, które mu twarz bledszą, niż zwykle zaszepiły; Pietrek pod piecem łokcie oparł na kolanach, brodę na dłoniach i wpatrywał się dużymi swemi oczyma w Szaleja, a poeta głowę zwiesił ku ziemi i umilkł, jakby żałował teraz swojej głośnej spowiedzi.

Cicha miesięczna noc płynęła nad ziemią, a z nią ludzkie myśli, jak spadające gwiazdy w przestrzeń bez końca...

X.

Proces rozwodowy ciągnął się nadspodziewanie krótko, dzięki wpływom i staraniom prezesa. Filip automatycznie przystawał na wszystkie warunki, jakie mu dyktowano; przekonawszy się raz, że go Helena nie kocha i nigdy na prawdę nie kochała, nie sprzeciwiał się niczem powroć-niu wolności kobiecie, która uważała się za ofiarę i niewolnicę jego.

Jak na Golgotę szedł wszelako za każdym razem do konsystorza i do sądu, jak skazaniec odpowiadał na wszelkie pytania, a gdzie wystarczało kiwnięcie głową zamiast odpowiedzi, tam nawet ust nie otwierał.

Ta bierna rola męża, oskarżonego o brutalność i tyrania, zwróciła wreszcie uwagę, a odkąd Piel-ski występować zaczął, jako zdeklarowany konkurent do ręki i serca pięknej rozwódki, świat miał nowy motyw do sensacyjnych nowinek, obnoszonych przez cały tłum plotkarzy i plotkarek.

— Patrzcie, patrzcie — mówiono sobie — teraz wyskoczył prawdziwy dyabeł z tej tajemniczej skrzynki. Pokazuje się, że to Zyzio wysadził mężulka, bo sam jego miejsce zająć pragnął. A przecież to od początku było widoczne; asystował wszystkim Okulskim, gdzie się tylko poka-zały.

Byli tacy, którzy wierzyć nie chcieli pogłoskom o projektowanym małżeństwie Pielskiego z Heleną; znano go dobrze z reputacji bałamuta i zmiennika, którego zalotów żadna uczciwa i rozsądna kobieta poważnie brać nie mogła.

Chciano stawiać zakłady, że to małżeństwo do skutku nie dojdzie, że w stanowczej chwili Zyzio się wysłiznie, jak piskorz; głośne rozmowy przeszły w ten cichy szept, co-to zwykle ma w sobie coś kompromitującego dla kobiety, o której się w ten sposób mówi do ucha lub pod wachlarzem *dans le beau monde*.

Znaleźli się teraz obrońcy Filipa; powstawały legendy o nim, mówiono, że ma początki waracyi, że go zamknięto w szpitalu; inni utrzymywali na pewno, że się rozpił, jeszcze inni, że przepadł bez wieści. Złośliwa wzmianka w dziennikach o „figurkach gipsowych“ nadała nowy zwrot domy-słom, czerpanym z fantazyi pozłacanych głów salonowych, zajmujących się, w braku czegoś po-żyteczniejszego, sprawami bliźnich swoich.

— Ten Morelli to jednak jakiś ciemięga — wy-rokowali niektórzy — wyglądał, jak Otello, a po-zwolił sobie żonę zabrać z pod boku i nawet nie nacechował dżetem swojego rywala.

— Dobrze mu tak!... dlaczego jej nie pilnował? czemu pozwalał włóczyć się z nią bezustannie ta-kiemu Pielskiemu?

— Zapewne; ale już to, co prawda, to prawda, pani Helena nie wiele na tej zmianie skorzysta. Porzuciła jednego męża, za to ją drugi jeszcze porzuci.

— Poszuka trzeciego.

Największą jednak niespodzianką dla wszyst-kich była nagle wiadomość, że pewnego dnia rani-uteńko odbył się w jednym z przedmiejskich kościołów ślub pani Heleny 1-mo voto Morelli z p. Zygmuntem Pielskim.

Świat luł się godzić z faktami dokonaniem i uznaje najłatwiej ich racją.

Tasama opinia publiczna, o której tak liche wyobrażenie miał siostrzeniec pana prezesa, a któ-ra przed ślubem oburzała się na człowieka, od-bierającego cudzą żonę innemu, najzyczliwiej po-witała teraz nowożeńców. Zapomniano o chwilo-wem współczuciu dla Filipa, o zgorszeniu, jakie wywołał rozwód Morellich, ścisano z jakąś nad-zwyczajną uprzejmością rękę Zyzia, jakgdyby mu wieszowano zwycięstwa, a do Heleny uśmie-chano się zdaleka z wyrazem towarzyskiej apro-baty jej postępków. Dawni przeciwnicy zmie-nili się w sprzymierzeńców; Katoni przetrucili płaszcz z jednego ramienia na drugi i sprawa małżonków Morellich zesła z wokandy opinii publicznej, a jej miejsce zajęła odtąd sprawa mał-żonków Pielskich.

Pani Helena spędzała poraz drugi w życiu swoim miodowe miesiące; mama Okulska od-młodniała o dziesięć lat po ślubie córki, a panny Resia i Klarcia paradowały codziennie w po-wozie prezesa po najładniejszych ulicach miasta, aby hołocie imponować cudzą liberyą.

Kto wie, czy tym razem nie zadržościli sio-strze męża, jak z żurnalu wyciętego.

Przy intercyzie wyszła na jaw jedna najmniej spodziewana tajemnica; oto, że pan młody wła-snego majątku nic już nie posiadał i dopiero po najdłuższym życiu wujaszka mógł się spodie-wać spadku, nieokreślonego bliżej; zaś na od-wrót posag pani Zygmuntovej okazał się zupeł-

nie wyczerpanym na koszt rozwodowe, majątek zaś jej matki wymagał wprawdzie uregulowania za-wikłanych interessów, którymi przyrzekł zająć się pan prezes osobiście, jako najstarsza obecnie głowa rodziny.

Im więcej zagłębiał się wszelako w ten labi-rynt, tembardziej twarz mu się przeciągała, a kie-dy nareszcie po mozolnych obrachunkach doszedł do zestawienia bilansu przy pomocy mamy Okul-skiej, bardzo niechętnie dającej wyjaśnienia w sprawach majątkowych, grzecznie, zimno, ale z kwaśnym uśmiechem udzielił jej na poufnej konferencji tej smutnej nowiny, że „stanęła na czysto“, jeżeli zechce zlikwidować swe interessa.

— Jako na czysto? — spytała, nie zrozu-miawszy dobrze wyrażenia.

— To znaczy, że czynny majątek szanownej pani i córek wynosi obecnie zero.

— A kamienica?

— Pójdzie na pokrycie długów hipotecznych i wekslowych.

— Ależ, panie prezesie, to niepodobna!

Prezes ramionami wzruszył:

— Przyznaję, że i ja tak myślałem; gorzej jest, niż śmiałem przypuszczać.

Okulska po raz pierwszy w życiu zbladła i nogi się pod nią zatrzęsły.

— Cóż teraz będzie? — spytała ze łzami w gło-sie.

Szeliwski usta zaciął, oczy zmrużył i nie dał żadnej odpowiedzi.

— Zygmuntovej wyrobię urząd w Banku — ode-zwał się po chwili — o jedną córkę możesz pani być zatem spokojną; dwie inne znajdują zapewne mężów, a jeśli nie, to...

Z przestachem spojrzała w oczy prezesowi, wyczekując dalszych jego wyrazów.

— To będą musiały pracować na siebie i na panią — skończył powoli i znacząco.

— O nigdy! — wybuchnęła prawie z rozpaczą i, zakrywając twarz batystową chusteczką, jak dziecko szlochać zaczęła.

Prezes brwi zmarszczył, spojrział na nią z poli-towaniem i, skłoniwszy się grzecznie w milczeni-ni, wyszedł.

Mało do tego brakło, aby pan Zygmunt, do-wiedziawszy się od Szeliwskiego o właściwym stanie interessów świekry, wybuchnął słowami:

— A toś mnie wujaszek wykierował! — ale w porę jeszcze zaciął usta i pohamował oburzenie, jakim go wiadomość ta przejęła; w głębi duszy uważał się wszelako za okropnie „załapa-nego“. Wszystkie nadzieje rekompensaty za mał-żeństwo pomimo woli zawiodły go fatalnie: w kie-szeni pustki, na karku piękna żona z wymoga-mi, bez grosza posagu, w perspektywie dźwiganie ciężarów rodzinnych w postaci świekry i dwóch szwagierek, zerwanie z próżniaczą swo-bodą i życiem z cudzej łaski, a przy tem wszyst-kim konieczność udawania dobrej miny przy fa-talnej przegranej ostatniej stawki.

W widokach spadku trzeba było tymczasem poddawać się warunkom stawianym przez pre-za i godzić z losem małego „urzędniczka“, któremu przez protekcją dano miejsce z lichą pensyjką, a z obowiązkiem odsiadania pięciu godzin codziennie w biurze, zanim się „awans otworzy.“

Ten przysłowiowy wilk, co nosił owce tyle ra-zy, opuścił teraz uszy ku samej ziemi po ożenie-niu i dał się ponieść z bolesną rezygnacją, ma-skowaną spokojem dystygowanego baranka, ska-zanego na rzeź.

Nie wielką-by to było pociechą dla Filipa, gdy-by był wiedział o prawdziwym stanie rzeczy; po rozwodzie z żoną uważał się za wdowca.

— Proszę cię — rzekł raz do Szaleja, gdy mu ten przyniósł wiadomość o zapowiedziach He-leny z Zygmuntem — nie mówmy o niej nigdy więcej. Umarła dla mnie...

— Udajesz stoika — przerwał mu powątpie-wajaco poeta — będziesz milczał i myślał, to gor-sze, bo cię myśl strawi, jak rdza.

Filip smutnie głową zaprzeczył.

— Mylisz się, chcesz wiedzieć prawdę całą?... ja jej już więcej nie kocham; mam uczucie, jakby mi chirurg jakiś chore serce wykroił z piersi i

pozostawił pustkę w tem miejscu. Nic nie czuję, wszystko mi obojętne... Mam tylko żal do siebie samego, o i wielki!.. za to, że pozwoliłem się tak zepchnąć, żem ręce opuścił, głowę zwiesił, sztukę zdradził, bo ja ją mój drogi zdradziłem haniebnie!.. miałem żyć dla niej, a umarłem nie przez nią. Masz słusność nazywać mnie nieboszczykiem.

Potańczę czoło gwałtownie i głowę ścisnął rękoma, jakby w niej nagle wszystkie myśli zakotłowały.

— Co po mnie zostanie, co zostanie?! — wołał z boleścią, chodząc po pracowni dużemi krokami. — Miałem talent, co się z nim stało?... miałem zapał do pracy, gdzie on?... miałem wiarę w siebie, dziś zwątpiłem o wszystkim?... Przez tych kilka lat skopało mnie życie, jak psa, a ja mu się kopać dałem i skowyczyć tylko umiałem w kącie. Siły, siły mi brakło iść na przebój!..

(Dokończenie nastąpi).

Trzy miłości Szopena.

Pod tytułem „Les trois romans de Frédéric Chopin,” wyszła świeżo w Paryżu książka, napisana przez ziomka naszego z krwi i uczucia, ale urodzonego już we Francji, która była niegdyś dla jego ojca gościnną ziemią przytułku — przez hr. Wodzińskiego. Mimo tytułu, zaznaczającego pewną wyłączność treści, są to rzeczywiście dzieje życia Szopena, które dla publiczności naszej nowością być nie mogą po tem, co posiadamy już o nim. Najpierw Liszt napisał o tym słodkim muzyku naszym książkę skreśloną po francuzku pięknym i sympatycznie przedmiot swój odczuwającym, poetycznym, choć nieco manierowanym językiem, a którą nam przyswoił przekład, dokonany szlachetnym piórem poety, Felicjana Faleńskiego. Potem obszerniej już i gruntowniej pisał o Szopenie Karasowski, a dzieło jego, nowsze o lat kilkanaście, jest zapewne znajome szerokim kołom naszej publiczności. Przecież książka Wodzińskiego ma swoją stronę ciekawą przez pewne szczegóły nowe: przez to, że jedynie prawdziwa miłość Szopena, jedyne oddanie jego serca kobiecie, może być autorowi znane lepiej i prawdziwiej za pośrednictwem rodzinnych jego stosunków.

Pierwszą jakoby miłością Szopena — pierwszkiem jego serca, kwiatkiem drobnym, który rozwija się o pierwszej wiosnie życia i jest wdziękiem kilku chwil doby jednej, a potem wędnie bez głębszych śladów dla życia: to Konstancya Gładkowska, śpiewaczka opery warszaw. przed r. 1831. Niemal chłopiec jeszcze, bo ledwo co skończywszy dziewiętnasty rok życia, pokochał tem uczuciem młodzieńcem, marzycielskiem, poetycznym, które pragnie dla siebie trwania aż do śmierci, a przed południem życia już znika. Imię tej ukochanej: „Konstancya” zdawało się chłopcu wróżką dla przyszłości jego uczuć szczęśliwą. Jasna blondynka, modrooka, z długą rzęsą, zachwyciła go w roli „Lucyi,” a rozpuszczone kosy i wcielenie w romantyczną postać nieśczęśliwej przez miłość kobiety potęgowało urok samej osoby. Młody Fryderyk przysięga sobie kochać wiecznie i letnim wieczorem na wsi zwierza się ze wzruszeń swego serca przyjacielowi. Tytus Wojciechowski, namiętnie zamikowany w muzyce, a niegdyś towarzysz szkolny Szopena, otrzymuje to wyznanie. Kochali się ci dwaj ludzie wiernie i stale, choć różnica charakterów i całego ustroju duszy i ciała była wielka między niemi. U Szopena wszystko było w najwyższy sposób delikatne, wrażliwe, miękkie, gdy przeciwnie Wojciechowski był silny, na pozór chłodny, niewywnętrzający się łatwo, nie ulegający wrażeniom i wzruszeniom, które u Szopena szły zawsze w parze i można powiedzieć — grały na strunach jego duszy jak powiewy wiatru na harfie eolskiej. Wojciechowski był i starszy o lat parę, co wszystko sprawiło, że Szopen

przedstawiał w tym związku stroną słabszą, oparcia potrzebującą. Przed wyjazdem swym za granicę dla wyższego kształcenia się w muzyce, Szopen przepędził część lata na wsi u Wojciechowskiego w Poturzyni i raz o o zmroku, gdy tęsknota za tem, co ma rzucać, ścisnęła mu serce, czyni przyjacielowi wyznanie. Wojciechowski palił fajkę — dawną fajkę na długim cybuchu, Szopen podchodzi do okna i, patrząc w ogród, odkrywa co mu się w sercu dzieje.

Było to przecież raczej przecucie uczucia, które mu miało kiedyś wzruszać serce, niż uczucie rzeczywiste. Prawie każda młodość męczyzna przechodzi przez to: żywił miłosny rodzi się w sercu, potrzeba kochania odzywa się tęsknotą, która jak ta pajęczyna jesienna, błędząca w powietrzu nitkami srebrnymi, czepia się spotkanych przedmiotów i owija się w koło nich miętko. Natura Szopena była zbyt tkliwa i mimo wrażliwości zbyt uczuciową i idealną, aby doświadczał lekkomyślnych kaprysów gustu serca, które rodzą miłości, zmieniające się coraz w sercu, że przecież w antraktach swej, jakoby miłości dla Konstancyi Gładkowskiej, serce chłopca czciło i inne boginie, nie można tego, co dla niej doświadczał, nazwać prawdziwym i rzeczywistym uczuciem, bo było to raczej snem poetycznym wiosennym; nocy jego marzeń i fantazyowań wyobraźni na temat miłości. Gdy sławna europejska śpiewaczka Sontag (potem hr. Rossi) przybyła do Warszawy, on wieczny kochanek Konstancyi ulega nowemu czarowi, widocznemu w listach do Wojciechowskiego. Wzywa go, aby przybył do Warszawy i słyszał „posłankę bogów.” Nie jest ona w jego oczach piękną, ale jest więcej, niż piękną — jest czarownicą! Nie śmie się zbliżyć do niej i ona pierwsza zaprasza go do siebie, słysząc jego kompozycje. Ale ją oblega takie mnóstwo osób, on to widzi — widzi jak jest znużoną i trzyma się na stronie. Jest ona dobrocią wcieloną... Co za różnica z tem wszystkim, com widział dotąd!” — pisze do Wojciechowskiego. W porannym neglżu jest stokroć powabniejszą, niżeli w toalecie wieczorowej, a przecież ci, którzy ją tylko tak widzieli, szaleją za nią.

To już nie samo ubóstwienie głosu, a przecież w miesiąc po odjeździe Sontag jest znowu pod wpływem uroków Konstancyi i wkrótce potem przyznaje się Wojciechowskiemu do swego uczucia — Smutny, rozżalony, wspomina Konstancyę, jaką ukochaną mu kobietę już zagranicą, w Wiedniu. Mimo to wszystko w tych przejściach, w tem słabnięciu i wzmaganii się uczucia, nie ma cech miłości i prędzej może serce Szopena uczuło wzruszenie miłosne dla księżniczki Elizy Radziwiłłówny, tej, która była też marzeniem młodości dzisiejszego cesarza Wilhelma, wtedy królewicza pruskiego. Piętnastoletnim chłopcem znalazł on w Willanowie na terassie przed pałacem jej portret w miniaturze, zgubiony tam przez ojca, księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Uniesiony pięknością miniatury wbiegł chłopiec do pałacu tak wzruszony, że wobec dostojnego towarzysztwa rzucił głośno gorące pytanie:

— Cóż to za anioł?

Książę Radziwiłł był też sam niepowszednim muzykiem i kompozytorem, poznał się na geniuszu młodzieńca i przyjmował go u siebie w Poznaniu. Gdy przejeżdżając raz pierwszy za granicę zatrzymał się w rezydencji księcia, w Antoniewie i przyjęty tam gościnnie poznał „anioła” — uwielbienie dla nieznannej piękności stało się owiele gorętszem. Grano, rysowano, marzono może, i Szopen w listach do Wojciechowskiego pisanych, nazywa Antonim rajem — który zamieszkiwały dwie Elwe jasnowłose: Księżniczka Eliza i młodsza jej siostra Wanda. Ale tylko urok starszej opanowywa go tak, że rozstanie staje się bólem serce, rodzi żal.

— „Nie możesz wyobrazić sobie — pisze Szopen do przyjaciela po powrocie do domu — jak Warszawa wydaje mi się teraz pustą, jak mi to czegoś brak...” A przecież było to miejsce, zamieszkiwane przez jego stałość — przez jego Konstancyę ale jego ścigają wspomnienia tej, która pozostała daleko: tęskni, jest pełen smutku i żalu, który go wskroś przenika; gdy przecież we trzy

miesiące potem ma wyjechać do Włoch, popada w stan podobny, tylko Ewa jego utraconego rajku ma inne imię i jest to znowu ta zapomniana niedawno, a obecnie zdająca się zapęlić całe jego serce. O niej myśli, o niej marzy, dla niej tworzy czarowne swe melode i listy pisane do przyjaciela stają się znowu jej pełnemi.

Lud nasz nazywa planetami chmury ciężkie i ciemne, gdy są pędzone szybko przez wiatr i zmieniają wciąż obraz nieba, a planetnikami ludzi, przez których coś tak przegania wrażenia, lecz jest tu zachowywanym zawsze pewien odciśnięty delikatny, ale stanowczo zaznaczony. Nigdy nie bywa nazwany planetnikiem zmienik popolity, lekkoduch — ktoś taki naprzykład, któremu potrzeba wciąż innej hulanki i innego do niej towarzysza, innej dziewczyny, którejby mógł śpiewać: — dana... dana... i wykręcać się z nią „na odsiebką.” Planetnik to człowiek ścigany przez coraz-tę nową chmurę marzycielskiego urojenia, duch niespokojony, gardzący tem, co ma — posępny przez tęsknotę zatem, czego jeszcze nie dostał, lub co w tyle zostawił, co utracił i Szopen należał do liczby takich nieszczęśliwych — planetników!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZEGAR NA WIEŻY BOŻEGO NARODZENIA.

Podanie szląskie.

(Dalszy ciąg).

Po owej bytności gromady Czarnoborskiej we dworze zrobiło się we wsi tak cicho i smutno, jakgdyby z lasów powstała wielka mgła i okryła wszystko. Nikt już we wsi nie mówił: — nasz pan... nasz panicz... Staś... i najczęściej pokazując ręką w stronę dworu, cedzono przez zęby: tamten!... Jeszcze nikt nie wymówił: — Niemiec!... ale czuli już wszyscy, że nie swój, że obcy! Krzepili się jednak na duchu i cieszyli między sobą: — Poczekajcie... poczekajcie... niech go swoje powietrze owionie, niech pokosztuje swojego chleba, napije się swojej wody... ale najważniejszą sprawą było: z kim się ożeni? Dawniej gromada miała już dla niego upatrzoną pannę, ale teraz nikt się z tem nie odzywał, przecież wszyscy myśleli: z kim się ożeni?...

— Pewno trzeba mu bogatej według tych długów wiedeńskich... — odzywał się ktoś czasem i czekano, a p. Stanisław zabrał się gospodarować. Regestra starego rządcy przewertował z Bóg wie ilu lat, kassę do siebie wziął i począł ostro, surowo, oszczędnie rządy prowadzić. — Ano... ano, to te długi... tłumaczyli go ludzie, a do głowy wracała im zawsze myśl, jakiej sobie żony poszuka?

Aż jednego dnia wytoczono z wozowni wiedeński kocyk, którym tu przyjechał, zaprzężono konie w nowe wiedeńskie szory i p. Stanisław pojechał zaraz o granicę — do Bolestowa.

Na drogowskazie stało wypisane: „Bolstein”, ale ludzie mówili zawsze z przyzwyczajenia dawnego: „Bolestów”. Gniazdo było stare, starej rodziny Bolestów; za Henryka Pobożnego jeden Bolest, Kacper, rycerz bardzo sławny z siły wielkiej, pod Lignicą padł, z Tatarami się bijąc, i księcia własną osobą zasłaniając, ale ród ten od kilku już pokoleń przetrwał się: „von Bolstein” i zniemczał całkiem, co też poszło głównie przez małżeństwo z Niemkami. Teraz już z tej krwi nie było żadnego potomka męskiego i ród utrzymał się tylko po kądzieli. Na Bolestynie rządziła panna, Mina von Bolstein, w dziewiętnastym roku życia, właśnie w sam czas do zamążpójścia. A majątek był duży, dobra rozległe i dobrze rozdziły, bo większa część gruntów była na podgórzu, a przytem dom był zasobny, sady, ogrody piękne, tylko to było nieszczęście, że panny urodziwą nazwać nie było można. Miała po babce, pierwszej Niemce w rodzie, włosy jak len i brwi, rzęsy — wszystko takie, czy blade niebieskie, pleć bez żadnego rumieńca, bez

kropki krwi w całej twarzy, bo nawet usta ledwo że się różowiły. Może zła nie była, bo ludzie nie mówili nic o tem, ale i nie kochał jej nikt; że zaś była chuda i wysoka, chodziła cicho, jak cień, ludzie żegnali się prawie przed nią i mówili, że wygląda jak dusza z czyszcza, ratunku potrzebująca. Popolsku ledwo cośkolwiek umiała i nie rozgadrywała się też z nikim i nikt z nią. Mężkiej służby we dworze wcale nie było; prócz szafarki, Niemkini, wszystko dziewczki ze wsi i ledwo raz na miesiąc pani przemówiła, do której językiem łamanymi powiadano też, że sepleni jak sroka, którą wyuczono coś mowy ludzkiej. Miała przy sobie starą ciotkę, ale na folwarku rządziła głównie owa Niemka Gertruda, zła, skąpa; wymyślała ludziom od „Polaków“, co jąrzyło serca, i przechodząc koło dworu, spluwano, mówiąc: — Na psa urókl... Służyła jeszcze za starego pana, ostatniego Bolsteina, który parę lat temu umarł. Czy go na tamtym świecie poznali Bolestowie, jeżeli się tam duchy spotykają ze sobą — i czy przyznali go za syna?

Mina von Bolstein siedziała ze starą krewną w swoim dużym, zamożnym domu rzeczywiście, jak dusza zaklęta. W górach choćby i chcąc najbardziej, mało ludzie z ludźmi się widują, bo gdy przyjdzie ostra, albo śnieżna zima, to drogi tak zasypie, że się ruszyć ze wsi do wsi nie można. W Bolsteinie dwór nie był ani taki, jak u innej szlachty po wsiach górskich: drewniany z gankiem i okapem, ani pałac pański, lub zamczek, jak w Nowych Czarnoborach, tylko modą niemiecką duży dom murowany bez pietra. Mina von Bolstein już się w nim urodziła, bo jeszcze jej dziad kazał rozebrać stary, modrzewiowy, piękny dworzec, a chorągiewkę, która na nim była z datą właśnie wiedeńskiej wyprawy króla Jana, schowano na strych, gdzie ją rdza dogryzała. Urodziła się już Niemką i musiała nią być — z winą, czy bez winy!

Kiedy p. Stanisław, wsiadając do powozu, do Bolsteina stangretowi jechać kazał, gdy we wsi zobaczono, że konie na wiodącą tam drogę skręcają, zawołano zaraz: — A... tamto żony szuka!...

W Bolestowie tak też coś pomysłano, gdy wiedeński koczyk przed owym murowanym domem stanął, a gość z niego żwawo i elegancko wysiadł: pan młody, piękny, wysoki, z szafirowemi oczyma i wąsem jasnym, jak do malowania. Wprawdzie stangret, zajeżdżając, z bata nie palił, bo jakoś do tego kawalerskiego szyku serca nie miał. I on sobie mówił: — Jedziemy tu po żonę... ani chybi — po żonę!

— A piękna też — mruknął w dodatku — dusza z czyszcza...

Do gościnnej komnaty, gdzie p. Stanisława poproszono, weszła po chwili niedługiej gospodyni w towarzystwie ciotki. Zdawało się, że ma jeszcze bielsze włosy, bledsze oczy, usta, że cała jest bledsza, niż zwykle. Mówiła bardzo mało i cichym, choć dość przyjemnym głosem, a powiadano też, że śpiewa pięknie i chyba to jedynie na świecie lubi. Była dla gościa grzeczna, prosiła, aby jadł i pił, gdy na wielkiej, ciężkiej tacy srebrnej wniesiono wino i różne rzeczy smaczne, ale nie widział, aby się do niego blade usta choć raz uśmiechnęły. Kiedy, pobawiwszy z godzinę, wstał i żegnać się zaczął, bo już czas był po temu i mrok zaczynał się robić, nie powiedziała mu ani słówka, aby tu kiedy wrócił.

On sam się o to przymówił, na pożegnanie rękę jej wziął i pocałował, a ręka ta chuda, długa, koścista dała mu się jak martwa i ustom się zdawało, że coś martwego całują.

Cały czas rozmawiali ponemiecku i kiedy też potem powóz o kamień gdzieś stuknął, p. Stanisław ponemiecku stangreta skrzyczał. Ponemiecku zbeształ stróża, że mu nie dość prędko bramę dziedzińca otworzył, ponemiecku nazwał bestyą szkaradną psa Burka, gdy radując mu się, ku niemu skakał. Kopnął go i zaklął ponemiecku!

Mina von Bolstein po odjeździe pięknego kawalera stała obok stołu, w temsamem miejscu, gdzie ją pocałował w rękę, jak drewniana! Gdy ciotka zaczęła jej wieszować konkurenta, spojrziała tak niecierpliwie, smutno, gniewnie, że w niebieskich oczach raz pierwszy coś błysnęło.

Nie siadła do kołowrotka, na którym przedła w chwili, gdy gość zajechał — poszła w ogród, nie... uciekła, bo gdy już nikt widzieć nie mógł biegła, biegła aż gdzieś na sam jego koniec ostatni, bez tchu prawie. — Um Gottes Willen!... Um Gottes Willen! — zawołała, na ławkę padając i zaczęła ręce łamać, jak w nieszczęściu największym. — Czego on chce ode mnie? Czego chce?

Wiedziała, że chce jej posagu, pieniędzy... Że brzydką jest, że jak wysłyszała ludzi — jest niby duszą w czyszczu — wiedziała i to, że on ją chce wziąć dla jej dóbr, dla jej worków pieniędzy. Ale ona nieszczęśliwa pokochała go odrazu, natychmiast gdy spojrziała i zobaczyła, jaki wysoki, piękny, układny, jakie ma szafirowe oczy pod ciemnymi, długimi rzęsami! Gdy spojrział na nią temi oczyma, gdy uśmiechnął się koralowemi ustami, pod jasnym wąsem — pokochała i łamała teraz ręce z boleści, czując, że gdy przyjdzie chwila stanowcza, ona nieszczęsna nie odpowie mu: — Nie...

— Ale ja już jestem Niemką! ja już Niemką! Niemką!... — wołała rozpacznie i blade jej oczy patrzyły z przestachem jakgdyby łani zranionej przed siebie. Brała niby na świadki pola, las, niebo, góry, że ona już nie dla niego, ona — Niemką!...

— Um Gottes Willen!... — szlochała i prosiła Boga, aby się stało coś i on nie wrócił więcej!

I stało się coś... nie wrócił... Jak się rzucił wieczorem do swoich pokoi gniewny, zły, kopiący psa i w duszy chcący kopać ludzi, tak posępnym jeszcze, ale już innym wstał nazajutrz, a rano, rano, jak nigdy. Nie znalazł jeszcze swoich lasów w górach i powiedział sobie nagle, że to nie może być, aby dla braku komunikacji, spławu, były na handel nic nie warte. Na mapie miał wyrysowane, że rzeczka Rudawka, wypływająca z lasów Starych Czarnoborów, płynie przez jego ziemię, otóż on spędzi ludzi, starych, młodych, kogo znajdzie, i strumień rozszerzy, zrobi z niego kanał do Olszy wpadający, potem lasy na górach wytnie, drzewo spławi, długi zapłaci...

Rano się zerwał, kazał sobie przystawić człowieka, któryby dobrze góry, oraz granice jego posiadłości znał i poszedł z nim przegład ten czynić. Nagle mu przyszedł humor dobry, śmiał się z siebie, że pierwszy o tem nie pomyślał, co było rzeczą tak łatwą.

Przewodnikiem jego był gospodarz stary, Filip Suchy. Ród był z ojca i dziada ludzi wysokich, chudych, zażywnych w sobie, i ztąd zapewne poszła nazwa. Kmiecie byli bogaci, stateczni, rozumni i dlatego rządca kazał Filipowi iść z panem. Szedł chętnie, bo był to jeden z tych, co jeszcze starego pana i jego ciężką śmierć pamiętali i nazywali kiedyś p. Stanisława sierotą. I on był dobry myśli — mówił sobie, że niech jeń młody pan swoje góry i górskie lasy pozna, to zmieni się. Lud góralski wierzy do dziś dnia w uroki gór — w Wile, które je rzucają a wtenczas wierzyli mocniej jeszcze. — Zaczaruje go tam... myślał sobie patrząc z przyjemnością, jak młody pan piękny i krzepki, mocny jest, jak się pod wierzechowiny śmiało pnie — zwyczajnie Czarnoborski! Tylko o zaczarowanie go przez duchy górskie Boga prosił i uprosił. Spotkali po jakiej godzinie drogi boginkę, która tego dokazała i jak skutecznie.

Byli już dobrze wysoko, kosodrzewina już się pokazywała to tu, to tam, gdy nagle w wąwozie jednym spotkali się z amazonką. Sliczna młoda panna jechała na niedużym koniku górskim w granatowym kontusiku, pętlczkami pięknie szamerowanym z wylotami, które wdzięcznie poza sobą przewiązała, a do tego była na główce panny rogatywka też granatowa z piórkiem pawiem i pomniejszem piórem siwego karpackiego orła. Jechała truchtem lekkim, mając też za sobą pacholka na podjezdku i p. Stanisław stanął, jak olśniony. Panna miała pysznie grube warkocze ciemne, miała płeć jak lilia białą, gładką, szklącą się prawie, usta jak wiśnia, a malutkie, pełne. Ale oczy miała takie same, jak on: ciemno szafirowe, w ocienieniu rzęsy długiej — oczy Czarnoborskich!

Bo to krewna jego była, córka jego stryjcznego dziada, Jadwiga Czarnoborska.

Nie wiedział o niej, że żyła, a przecież o niej —

to myślała niegdyś gromada Nowych Czarnoborów, gdy mu żony w myślach szukała. Ojciec odumarł ją malutką, w dziesiątym roku. Że już matki nie miała, że nie miała rodzeństwa, bo dwóch synów Michała Czarnoborskiego, owiele starszych od siostrzyczki najmłodszej, ciężka śmierć daleko gdzieś wzięła, ojciec, umierając, obmyślił jej na opiekunów gromadę wsi swojej. Ledwo się chorym uczuł, zwołał ją do siebie i ostatnią swą wolę wyraził, że im chce dziecko w opiekę zdać, przyczem opowiedział, jak chce, aby sierota chowana była. Potem to spisał sołtys i trzech najstarszych kmieci krzyżki swoje pod jego podpisem położyli, przysłała potem herbowa pieczęć Czarnoborskich — Jelita, i rzecz stała się prawną. Urząd chciał sierocie opiekę dodać, ale testament był dobrze napisany i nikt go naruszyć nie mógł.

Gospodyni Magda o dziecko dbała, ksiądz proboszcz Czarnoborskiej parafii przyjeżdżał ją odwiedzać i troszkę uczyć, a gdy miało jej się obrócić na rok dwunasty, trzech kmieci najmędrzych, który jeszcze ksiądz w listy opatrzył, puścili się do Krakowa i panience swojej nauczycielkę przywieźli. Dobra to była dusza, kiedy się chciała w pustkowi górkim z sierotą zamknąć. Naraili ją Czarnoborowiakom ludzie mądrzy, do których za listami księdza trafili i poszło jak najlepiej. Jadwisia kończyła rok piętnasty, gdy tu nauczycielka odjechała. Miała w Krakowie matkę starą i nie mogła tu na zawsze pozostać, ale wyuczyła już Jadwisie wszystkiego, co sama umiała.

A umiała tyle, aby żyć na świecie nie w ciemności; umiała, tyle aby wiedzieć co złe a dobre, co swoje i nam przynależne, a co cudze — i tego wszystkiego nauczyła sierotę, która została w starym dworze rodzicielskim znów z Magdą tylko i dziewczętami dworskimi, które ją też uczyły trochę — wianki wic, piosenki śpiewać i len praść, jeszcze cienie niż Mina von Bolstein. Los zrządził, że dwie takie samotne sieroty mieszkwały w pobliżu, a ledwo-że się znały z widzenia. Mina zazdrościła urody Jadwidze Czarnoborskiej, która była od niej rokiem młodsza i zazdrościła jednej jeszcze rzeczy: że jej nie przerobiono na to, czem być nie była powinna — że została Jadwigą Czarnoborską na Starych Czarnoborach, że w kościele gdzie się czasem spotykały, widywała ją w kontusiku granatowym z wylotami, że słyszała, jak klękając między ludźmi przed wielkim ołtarzem, lub idąc za processą Bożego Ciała, lub wiosenną św. Marka, śpiewała z niemi w chórze. I ona, Mina von Bolstein pochwyliła nutę tych pieśni i śpiewać-by była chciała — o! jakby chciała, ale nie mogła... Nie umiała już tych słów, nie mogłaby tak jak inni wołać w niebogłosy: — Święty Boże! Święty mocny!... albo: — Przed oczy Tweje, Panie, winy nasze składamy!...

Ona czuła winy swe różne, ale nie miała już głosu, aby je wyznać Bogu w chórze ludzi wołających obok niej: — Usłysz nas na Wysokościach!

Zazdrościła Jadwidze Czarnoborskiej, że ona to mogła — zazdrościła jej wszystkiego, wszystkiego — poczynając od czystej krwi niemieszanej, która jej kwitła różami na liczku ślicznem. I miała wkrótce pozazdrościć jej jeszcze czegoś. Pan Stanisław nie wrócił już nigdy więcej do murowanego niemieckiego domu i zimą, która przysłała po tem lecie, ożenił się ze swoją krewną.

Rozkochał się w niej natychmiast a szalenie, szalenie i miłość ta przeniosła go nagle jakgdyby w inny świat, którego nie znał dotąd, a w której wejść mu dała dziewica ukochana. Zaraz tego pierwszego dnia zobaczenia się ze sobą w wąwozie stało się z nim jakgdyby chodził nie po ziemi. Ona zaczęła mu mówić odrazu: — Bracie Stanisławie... więc i on jej — Siostrzyczko Jadwisiu... a i imię i wyraz: „siostrzyczka” zdawały mu się czemś niewysłowieniem harmonijnem, Zaprosiła go też zaraz ze sobą do starych Czarnoborów, do dworu, który jak malowany stał powyżej niewielkiej wioski górskiej, pod górą lasem zarosłą. Ogródek był nieduży, i ubogi, bo tu już nie wszelka drzewina rość mogła, kwitnąć chciał

nie każdy kwiat, ale co to był za ogródek wdzięczny z ogrodniczką swoją!

We dworze — w obszernych, niewysokich komnatach, pokazała mu Jadwiga tyle starych zbroi i broni pancерnej, hussarskiej, dalej rogów jelenich, łosich, danielich, że aż ozwała mu się w sercu dzielność nieznaną dotąd, choć był przecie żołnierzem i kawalerzystą — jakaś dzielność inna: swojska, prosta. Dalej powiodła go gospodyni domu w stronę inną: do księżnicy, jak mówiła dawnym językiem, a tu stały szafy dębowe z księgami w skórę i półskórok oprawnymi. Ona to wszystko przeczytała, on nic tego nie znał i zdjął go coś, jak wstyd. Były to rzeczy nasze: raptularze stare, relacje seymowe i Jadwisia rzekła poważnie: — Bracie Stanisławie, to ci trzeba znać... to sprawy rodzinne.

On wszystko chciał, co chciała ona, a gdy wkrótce zachciał jej samej, oddała mu się. Czy kochała? Bóg to wie... Pobladła, gdy ją raz za rękę schwył, a potem padł jej do kolan, wołając namiętnie: — Kocham cię tak, tak, jak gwiazdę życia mego! Poszedłbym za tobą, w ogniu, w wodę, w piekło samo... Lecz ona wtedy podnosząc na niego szafirowe oczy swoje, odrzekła: — W piekło, bracie Stanisławie, nie trzeba iść za nikim... Dała mu słowo może dlatego, aby nie poszedł on w piekło zdrady, odstępstwa, zmienności — dla tego może została jego żoną!

Pokrewieństwo było tak już dalekie, że pozwolenie biskupie starczyło, aby ślub był im dany i Stanisław Czarnoborski wprowadził sobie wkrótce żonę go starego zamku z wieżą. A nie weszła tam ona bez posagu, choć Stare Czarnobory były mało intratną, mało co, na pieniądze licząc, wartą włosciami. W dzień ślubu gromada gazdowie starzy, przynieśli pannie młodej, z czasów opieki ubierany grosz — tysiąc dukatów węgierskich z Matką Boską! Co rok wymieniali pieniądze po jarmarkach u Węgrów i teraz położyli to panu młodemu na stole. Było czem procenta opłacić, ale on prawie o to nie dbał. Miał ją — ją, swoją modrooką, swoją czarnobrewą... kochaną miłością najwyższą.

Aż w pierwszą wilią Bożego Narodzenia młoda pani, już od miesiąca małżonka, powiedziała mu rzecz, której się zadziwił. Zegar na wieżycy zamkowej bił tylko raz do roku w ten dzień, o północy samej, i o północy samej trzeba też było naciągać go — naciągać łańcuszki z wagami, które się przez 365 dni roku powoli opuszczały i zegar by stanął, gdyby go o samej godzinie dwunastej, nie naciągnięto. Ale było przykazaniem w ich rodzie, że tylko Czarnoborski czynić to może. Gdy się zameczek w Nowych Czarnoborach budował, Sobiesław Czarnoborski, pono zegar ten z Norymbergi sprowadził, ale było przy nim zaklęcie, że tylko temu rodowi, który go nabywał, służyć może i tylko ludzi z czystej krwi tego rodu dotykać się go mogą. Gdy ów, z Niemką ożeniony Czarnoborski czy nagłe zamknął, czynił to po nim stryj jego Michał, a po ojcu ona. Małą sierotę przywołano tu w noc wigilijną i wstępowała na wysoką drabinę, aby naciągnąć wagi, posłuszne jej rączkom małym. Obcemu nie dałyby się łańcuszki posuwać, sprężyna, by pękła i zegar nie wybiłby już godziny tej nocy wigilijnej — nie biłby już nigdy....

(Dokończenie nastąpi)

DRAMATA KONKURSOWE.

I.

Larik, tragedia w 5 aktach, prozą, z motywów dziejowych, napisana przez Jana Gadomskiego (druk pierwotny w *Ateneum*, wydanie osobne w Gebethnera i Wolffa str. 100, in 8-vo 1886 roku).

(Dokończenie).

Laryk przyćmiewa wszystkie inne postacie razem wzięte. Żywość jego kolorytu udziela się

całemu utworowi; chociażby nawet otoczenie Laryka składało się z samych komparsów, jeszczeby całość musiała być zajmująca. Dwulicowość, właściwa wierchołkom społecznym w nieszczerliwych warunkach życia, skryte objawy nienawiści, świetnie wysłowione, (str. 12) podjęcie czynu wespół z synem, męka ojcowska z powodu wyrodnej córki, krótka rozkosz nadziei i rozczarowanie w lochu więziennym, dojmująca żalność po spójrzeniu w przeszłość (str. 50), popęd samobójczy (str. 55/6), walka chytrności z wrogiem, zakończona piorunem niesławy dziecka; żądza zemsty i ocalenia się przez zabicie niewinnego, potem poczynające się zaraz znużenie w jednej z tych chwil, które najlichszych nawet podnoszą; drżąca napowrót struna wiary i nadziei, w rzeźnym głosie serca (str. 77); walka słowna z zawistnymi (str. 83), zamordowanie córki, a mordowanie ojcowstwa w samym sobie; potem zaraz reakcja i płwanie na bóstwo (str. 93); wreszcie droga krzyżowa (str. 97/8) ponura, czarna okropna: przez te wszystkie momenta, te wszystkie stopnie, kształty i barwy przeprowadził autor główną swą postać. Wszystko, co mówi i przedsięwzięcie ten człowiek, obmyślane jest mądrze, rozwija się według logiki processów psychologicznych, a wyraża słowem obrazem, jędrnym, silnym, gorącym. Ze wszystkiego tego jednak widać, że Galgacus zły zrobił wybór, zwracając się do Laryka: nietylko nie jest to bohater, a choćby tylko człowiek pospolity, zdolny wszakże do czynu, ale wręcz jest to siła ujemna: żyje więcej sobą, niż celami swojemi. Duszą tego Laryka jest temperament, ma on dużo wyobraźni, dużo subiektywizmu, wielką zapalność: nie ma woli, nie ma siły do czynu; w dramacie też widzimy jego uczucia, nie dostrzegamy jego czynów. Tu autor rozminął się z zadaniem dramatyczności, która na samej tylko wewnętrznej dynamice poprzestać nie może. Rzecz prosta, że tracić na tem musi akcja zbiorowa dramatu. Są to skutki pierwotnego grzechu sztuki: różnorodności i idącej wraz z nią rozprężliwości bohatera, przypominającego państwo anarchiczne, bez konstytucji i konstytucyjnej straży charakteru.

Podły Branio i zmysłowa Letta, tchórzliwi, swarni a zawistni Laniwal i Tamar wyobrażają zgniliznę narodową Brytanów. Wszyscy oni lgną do cywilizacji rzymskiej, do wyższych przyjemności życia, jakie ona zapewnia; najsilniej dwoje pierwszych. Nie zupełnie zręcznym jest nawiązanie walki pomiędzy Braniem a Larykiem na temat potajemnej odezwy Galgaka; niedość też silną obłudą Laryka w więzieniu wobec niego dziwiwa. Wreszcie wyjawienie hańby Letty, zamiast zakończyć, powinno było raczej scenę więzienną rozpocząć: więcej trudności, ale i więcej zasługi. Więzienia jest w sztuce zawiele: ztąd rozwekłość aktu III. Braniowi wytknąć potrzebą niedostateczną przedsiębiorczość w walce z Larykiem; głosna sprzeczka wobec Legata wygląda trochę dziecinnie. Dla czytelnika i dla widza Branio zamało jeszcze wkupuje się w łaski Rzymian, a ten brak, rzecz prosta, nie przyczynia się do wypukłości jego charakterystyki.

Letta jest jedyną Brytanką w sztuce, jedyną nawet kobietą — bo kusząca ją Rzymianka ma znaczenie tylko symboliczne. Miałoby to wskazywać, że autor chciał w niej wytknąć i potępić kobiecość w ogóle? Wprawdzie te rysy, które w niej uwydatnił, posiadają pewien rodzajowy charakter. Kobieta silną będzie, silniejszą i oporniejszą od mężczyzny, dopóki jej nie pociągniesz galgankiem, zewnętrzną wystawnością życia, urokiem towarzyskości. Wystarczy to do jej podbicia z chwilą, gdy podbitą być może; ale ztąd nie wynika jeszcze, aby na te plewy wyższej cywilizacji, kobiecość, jako taka, przedewszystkiem chwycić się dała. Letta, w swej jedyności a lichocie nie może być przedstawicielką ani kobiety w ogóle, ani kobiety celtyckiej u Brytanów; jedno, jak drugie, byłoby zarówno niesprawiedliwym. Historycznie kobieta brytańska sprawować mogła godność królewską (najwyższą w danym pokoleniu) i nawet dowództwo w wojnie. Mniej więcej na jakie dwadzieścia lat przed wypadkami jedna z takich naczelniczek napadła na garnizony rzymskie i sporo ich wycięła. Autor

nie myślał Letty kształtować w typ: potrzebował jej tylko dla psychologii Laryka i psychologii nieszczęścia w ogóle. Letta mało miejsca zajmuje, ale dużo znaczy w sztuce. Wybija się z niej ślepa natura, jeszcze niezorganizowana w duszę ludzką, — dzika płonka naktórej duch się zaszczeplić nie zdołał. Nerwy to tylko i krew; w życiu duchowem musiała taka istota być czynnikiem ujemnym, rozkładowym, gnilemym. Po uduszeniu czuła ją padliną.

Ustosunkowanie Letty do ojca odpowiada zupełnie obu charakterom. W pierwszym tylko akcie autor nadużywa siły w wyrażaniu gniewu Laryka (str. 22), ale nie dopuszcza się żadnego nadużycia, gdy mu po hańbie Letty dusić nakazuje. Taki szalenie, własnym subiektywizmem opętany, taki popędliwy Hamlet czynu, zbiorowisko skłębionych sił złych i dobrych, taki człowiek, do namysłu, do rozwagi niezdolny, pozbawiony rozumu, któryby mu był władcą, sędzią i pocieszycielem — musiał albo sam się rozbić o hańbę córki, albo ją zamordować: dla nich obogła zamało było miejsca na ziemi. Gniew wyostrzył mu palce w szpony. Taka zemsta była jego wewnętrznym fatum. I w tem również przejawiał się fatalizm jego istoty, że do wywarcia gniewu wybrał sobie chwilę straszliwie nieodpowiednią. Przekleństwo po zabójstwie (str. 93) nawet dla takiego Laryka nie było koniecznym, ale skoro jest, uznać je potrzeba jako logiczne: takie natury przerzucają się z jednej ostateczności w drugą, a reakcja ojcowstwa w Laryku mogła się w chwilowym obłędzie przejawiać.

Dotadnich charakterów prawie że nie widać w sztuce: jeden tylko Brytan Kuno i Rzymianin Maro nad poziom nikłości wystają. Dobry jest Kuno, gdy rzuca wybawionego już ojca dla niespełnionego jeszcze czynu. Czuł w nim energiczną młodzieńczą naturę; ale i z tym rysem, wzbogaconym rzeźwą sceną aktu I-go, syn larykowy żyje więcej w imaginacji czytelnika niż w samym utworze. Maro jest głównie kochankiem Letty; zlekka tylko żołnierzem i Rzymianinem. Współwięzień Laryka, Kawort, przypomina Mercutia z *Romeu i Julii*. Jak tamten, umierając wskutek ciosu przeciwnika, woła: „Bierz licho oba wasze rody!“, tak ten głodem, ciemnością i niewolą dręczony, wyrzuca z siebie świętokradzkie: „Niech cię powietrze ogarnie i z twoją ojczyzną“ (str. 57). Obaj są ulepieni z jednej gliny, przez obu przemawia głos konającej w nich natury. Błuznierstwo Kaworta mogło być przyczyną wystarczającą do postanowienia zabójstwa, ale tylko dzięki temu, że autor naprzód samowiedzę Laryka wskutek przewagi temperamentu pozbawił niezbędnej perspektywy i wszystkim w niej zjawiskom w jednakowej wyrazistości i oświetleniu występować kazał.

Galgacus jest od innych postaci słabszym, nie ma własnej swej indywidualności. Z pustego wnętrza dochodzi głos dyktowany przez autora. Przy takim ukształtowaniu tem silniej razi okrucieństwo, jakiego się Galgak bez koniecznej potrzeby dopuszcza na posłach. To, co mówi na str. 85, jest pod stylistycznym względem silnie wyrażone, ale sprawia wrażenie czystej deklamacji. Natchnienie, jeśli tu było, poszło w głąb, nie w górę. Nie rozjemcą, ale przewodnikiem ten król być powinien, zwłaszcza wobec misyri Laryka. Niech autor porówna ton mowy swojej z tonem mowy tacytowskiej: tam odgłosy tektury, tu spłzu Rozmiary mowy w *Życiu Agrykoli* są za wielkie, uboczności i uzupełnień w niej zawiele, ale pojedyncze myśli, pojedyncze obrazy z niej same wpraszają się do dramatu. Galgak Tacyta nie poprzestaje na sentencyach, nie mówi o łzach, które więcej nieprzyzwoitością swą rażą, niż miękkością rozrzewniają, ale wywłóczy Rzymian z jaskini siły przed trybunał prawa, a swoim stawia walkę, jaką niczem nieodwróconą konieczność. Jest w tem krasomówstwie rzeźwista wielkość — np. o Rzymianach „Tam, dalej za nami, nie już tylko fale morskie i skały; przed nami od mórz i skał straszniejsi Rzymianie. Daremuieby kto chciał wymknąć się ich pysze zaborczej przez powściągliwość i uległość. Łupieżcy świata, kiedy im już nie spustoszenia zbrakło łądu stałego, tropią teraz po morzach.

Jeżeli przeciwnik jest bogatym—są chciwi; jeżeli biednym—rozzutni. Nie nasyci ich Wschód ani Zachód. Jedyni wśród narodów ziemi, bogactwa wszystkich, nędzy wszystkich, zarówno pożądamy. Zburzyć, zamordować, zagrabić, pod fałszywymi pozorami: to ich panowanie, a gdy gdzie pustkę uczynią—„pokojem” to nazywają. Autor „Irydionu” nie określiłby ich lepiej.

Nie chciałbym zawiśle powiedzieć, ale sprawiedliwość nakazuje mi uznać w autorze znakomitego już stylistę. Poezya dramatyczna nie tylko potrzebuje obrazowości w rozmowach (Shakespeare!); ale w tej, bardziej materialnej części stylu, która już da się gramatycznie opowiadać, woli myśli rzucane od ciągłych: zbyt długie zdania i obrazy nie przystają do niej, a zbyt przekonywający, zbyt syllogistyczny tok mowy, nadaje jej jakąś pedantką sztywność. Miał to na uwadze autor: jest też obrazowym lub kwiecistym, związłym, dosadnym; często Wiktora Hugo przypomina. Styl p. Gadomskiego nie byłby ani dobrem żadnym, ani zasługą, gdyby nie miał źródła w żywym odczuwaniu tych stanów, do których odmalowania służy; ale tu autor sam estetycznie wcielił się w swoje postacie i był ich rzeczywistym twórcą: styl zatem był mu tylko środkiem a nie celem. Język poprawny; są wszakże usterki: str. 3 *jest*—są; str. 56 *ich*—swego; str. 65 *wy*—wysię; na str. 85 potrzeba „ojczyznę” powtórzyć—zaimek nie wystarcza. „Pan, Pani,” „Formuj się!”—trochę zanadto są naszymi, aby mogły nierazić w takiej odległości wieków. Trzeci Herold str. 27, Laniwał str. 71, Jeden z orszaku str. 95—odzywają się strasznie poszekspirowsku. Wogóle zawiśle jest może dosadności w formie; doświadczenie da później miarę. Dziś już można wzrok nadziei wysoko podnieść; oby go przy dalszych utworach zniżyć nie byłoby potrzeba!

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w końcu Listopada 1886 r.

(Dokończenie).

Reprezentacja nasza, skutkiem tylu poruszonych sprężyn, sztucznych obwodów wyborczych, kolonizacji, wywłaszczania polskich obywateli it.d., ładnie będzie za lat kilka wyglądać. Przypomniano, iż w r. 1871 wybraliśmy do parlamentu niemieckiego trzynastu posłów, potem przez trzy kadencje mieliśmy ich stale po 14. W r. 1881, bądź dzięki lepiej uorganizowanej agitacji wyborczej, bądź skutkiem niedopilnowania się Niemców i rozbicia się ich na stronnictwa, poskończyliśmy aż do 18 posłów; w trzy lata później mieliśmy już ich tylko 16, a teraz? co nas czeka przy przyszłorocznych wyborach? Dowodem jednak i świadomości politycznej i sumiennosci w uczynieniu zadość obowiązkowi wyborczemu jest fakt, iż gdy w r. 1871 oddano tylko 176,072 głosów polskich, w r. 1884 padło ich 206,346. Tu zaś nie wzrost liczebny żywołu polskiego, lecz rozbudzenie świadomości w ludzie owej różnicy i postępu przyczyną.

Alé żkąd wezmą się koloniści na opróżnione polskie zagony? o nich najmniej dotąd słyhać, i jakoś ich nie widać mimo ułatwień i korzyści nęcących. To raz rząd chce sprowadzić i przeplancować do nas mieszkańców Szlezwię, twar-

dych Niemców i luteranów, na obce wpływy nie dościgłych; to znów mowa o Anabaptystach, stanowiących podobnie element w sobie zamknięty; ale zapowiedzianej w nasze strony emigracji dotąd nie widać. Próbuja tymczasem wywłaszczania i na mniejszą skalę, niebezpieczniejszą może, kusząc chłopów polskich, aby za cenę złota odstępowali kolonistom szczerze swe gospodarstwa. Ten jednak środek dotychczas zawodził i znowu tylko wyjątki się znajdują, same odpadają plewy. Chłop polski nie puści ziemi z rąk, chyba, że zupełnie już zruinowany, a stosunkowo, obecny przełom więcej stokrocie zaciężył nad większą, aniżeli nad małą, własnością.

Sześć tedy blisko milionów już wydano ze stamilionowej lawiny, która nam grozi; nie przystąpiono zaś jeszcze do kosztów urządzenia kolonii, które niemało pochłona z rządowego funduszu; obliczono bowiem, iż przyprowadzenie do ładu i składu parcelli tworzącej 80-cio morgowe gospodarstwo, kosztować będzie około 25,000 marek, jeśli na zabudowania nie poskapią.

Każda przymusowa sprzedaż polskiego majątku nie dla samego tylko właściciela jest kłeską. Odpadają natychmiast bez chleba i dachu całe zastępy officialistów, dworskiej czeladzi, pozbawione zajęcia i zarobku. Łatwo sobie wystawić, jak bardzo rośnie i rozmnaża się proletaryat rzucony przez nieszczęście na bruki małych miasteczek. Jeszcze smutniejszy od tamtego proletaryat szlachecki, podobnie rozbitkami zapełnia miasta nasze. Jakaż przyszłość tych ludzi, którzy po większej części, jak ów włodarz z przypowieści ewangelicznej, „zebrać się wstydzą, pracować nie umieją”, a choćby i umieli, dobieć się nie zależnego zajęcia nie mogą w stosunkach obecnych, spychających nas do roli i stanowiska Helotów.

Nowy naczelny prezes, hr. Zedlitz, pełen uprzejmości, ale i zręczności, przychodzi do nas z ustaloną sławą dobrego urzędnika; lecz jeszcze lepszego germanizatora. Ostatnie wyjątki i przywileje zachowane lokalnym potrzebom mowy i obyczaju krajowego znikają, a translukacje ostatnich też polskich nauczycieli, biuralistów, urzędników, płyną dalszą wydalania falą. W Regencyi Gdańskiej jednym zamachem pióra odjęto 50,000 działkom polskim ostatki nauki w ojczystym języku. Falkowski, a raczej papugowy system nauczania jedyną już metodą w całym szkolnictwie pruskim na ziemi polskiej. Wśród tych ciężkich okoliczności powoli dyecezyalne i parafialne regulują się stosunki, nowy arcybiskup obsadza naprzemian opróżnione stalle kanoników i osierocone parafie, jaknajszczęśliwiej, otaczając się doborem kapłanów swiatłych i cnotliwych. Przed kilkoma tygodniami zwiedził też drugą swą stolicę i pielgrzymował do grobu Ś-go Wojciecha, wszędzie serdecznie witany i przyjmowany, choć wszędy też z naciskiem mu przypomniano, iż Ś-ty Wojciech z pruskiej zginął ręki, a wyglądało nieco na *Avis au Lecteur*, tak często było powtarzanem. Poważna uległość dla nowego arcybiskupa nie zaciera w sercach wdzięcznej pamięci zwracającej się rzewnie ku jego poprzednikowi. Duchowieństwo wo składa kard. Ledóchowskiemu piękne album z fotografiami całego kleru; darem świeckich osób jest obraz pędzla znakomitego artysty amatora hr. Szembeka, przedstawiający więzienie ostrowskie w pamiętnej nocy 3 Lutego 1876 r., gdy zebrany na ulicy lud wielkopolski czekał na wyjście z dwuletniej kaźni swego arcybiskupa. Malarz upamiętnił chwilę, kiedy wniesiono światełko do celi pod Nr. 25-tym; zwiastowało ono, iż dostojnik Kościoła niebawem zajej próg wyjdzie; nie domyślano się, iż na to tylko, aby nigdy do dyecezyi nie wrócić. Mimo biedy i ruiny i zacieśnienia środków, piastowskie serca nie sprzenie-

wierają się zobowiązaniom wdzięczności. Teraz nowa, choć skromna, składka rośnie drobnymi datkami, celem złożenia upominku dzielnemu i wiernemu obrońcy uciśnionych w parlamentarnej arenie, Dr. Windthorstowi. Jak słyhać, najstawniejszy obrano podarek: ma to być Matka Boska Częstochowska, oprawiona w artystyczne drewniane ramy, rzeźbione w sycerskiej szkole zakopańskiej. Będzie to więc pod każdym względem ściśle polska pamiątka.

W smutku i biedzie trudno, aby literatura nowem wybujała kwieciami. Towarzystwo Przyjaciół Nauk na nowo rozpoczęło szereg uczonych rozpraw i prelekcji, a zaraz na wstępie usłyszeliśmy nader zajmujący odczyt Dra Jazdzewskiego, znakomitego archeologa o zagadkowym znaczeniu urn z twarzami ludzkimi; prelegent rozpoznaje w nich próby odtwarzania rysów tych właśnie zmarłych, których prochy do owych urn składano. Prassa, oczywiście, więcej jest ożywiona i w owoce bogatsza, aniżeli stałe piśmiennictwo i książkowe przedsiębiorstwa. *Dziennik Poznański* trzecią częścią historycznej trylogii Sienkiewicza, *Wotodyjowskim*, licznych sobie zapewnia i złącza prenumeratorów. *Kuryer Poznański*, obniżywszy cenę abonamentu, odrazu podwoił liczbę swych odbiorców, a na drukarni własnej świetne akcy onaryuszom zapewnia dywidendy. *Wielkopoleń* podawnemu się rozchodzi. *Ordynnik*, dotąd szacowny, zaczyna brudzić i powszechną w nieszczęściu jedność zamacać kwasami społecznymi. Do 45 czasopism polskich wychodzi w różnych pruskich dzielnicach. Ciągłe procesa prasowe utrudniają zakres działania redaktorów i rozwój każdego pisma. W *Wielkopoleń* p. Chociszewskiego skazano na 9 miesięcy więzienia za ogłoszoną petycją szkolną. Redaktor *Gazety Toruńskiej*, p. Danielewski, idzie na 4 miesiące za kraty, bo ogłosił powiastkę z wojny ostatniej, w której było powiedziane, iż kilku Francuzów bez przyczyny rozstrzelano. Ks. Radziejewski na Szlązku za artykuły pisane do *Katolika* ma przed sobą 8 miesięcy więzienia, redaktorowie *Kuryera*, aż 10, tak za artykuł tłumaczony z francuzkiego o wydalaniach, jak i za doniesienie, że na Warmii Polskiej przestano dzieci popolsku uczyć.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ. Anioł Pański poezya. — Pogawędka. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Trzy mił sci Szopena przez M. Ilnicką. — Zegar na wieży kościoła Bożego Narodzenia. (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Dramata konkursowe, (dokończenie), przez St. Krzemińskiego. — Korrespondencja zagraniczna Poznań, (dokończenie)

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika. — 17 wzorów ubiorów robotwraz z opisem — Sekretu gospodarki. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 10 Декабря 1886 года.